



GŁOS NARODU

WINOWAJCY.

GALICJA W ROKU 1846.

(Dokończenie).

Wiele otrzymanych doniesień każe mi, niestety, uważać za rzecz prawdopodobną, że nie brakło i takich urzędników zapoznających swoje obowiązki. Gdyby rząd był zaraz dochodził szczegółów tych wieści, byłby pewnie odszukał winnych, a ich ukaranie byłoby silniej odparło wszelkie oszczerstwa, aniżeli wszystkie inne dowody, i rząd byłby usprawiedliwiony wobec całego świata. Jako organ rządu austriackiego, jako wierny poddany Jego Cesarskiej Mości, jestem obowiązany nie spocząć, dopóki się nie pokaże, ile prawdy jest w tych pogłoskach o podeptaniu obowiązków przez poszczególnych urzędników w owych czasach. Jeżeli podejrzenia okażą się uzasadnionemi, będę wobec publicznej moralności i wobec monarchy obowiązany zarządzić jaknajściślejsze postępowanie urzędowe, aby świat, a szczególnie wrogowie Austrii poznali, że rząd w Galicji, jak wszędzie, trzyma się prawa obowiązku, że Austrija na swoim prawie i na swojej sile wewnętrznej polegać może, a ze wstrętem odwraca się od wszelkiej wspólności ze zbrodnią.

Proces o zdradę stanu zostanie w ciągu bieżącego miesiąca w pierwszej instancji zakończony. Ponieważ oczekuję z zupełnem zaufaniem, że wyższe instancje nie zaostrożą wyroków i nie zarządzą nowych śledztw, przeto sprawiedliwości stanie się zadość, poczem kolej przyjdzie na kwestję, czy i o ile, ze względu na postawę klas ludności, w procesie tym w pierwszym rzędzie w grę wchodzących, łagodność może być zastosowana do skazanych i karę cierpiących, o ile dalej łagodność taką zalecić należy dla uspokojenia kraju z tego powodu, iż według zdania prezydenta apelacyjnego niektóre wybitne rodziny, wskutek fałszywego kroku tych ze

swojego grona, którzy z braku doświadczenia i samodzielności, częścią namowami, częścią groźbami dali się wbrew własnemu interesowi nakłonić do udziału w zbrodniczych dążnościach, popadły w położenie oplakane, ogólne współczucie wzbudzające, wreszcie o ile na łagodność taką naprowadza już ten wzgląd, że władze nie są wolne od zarzutu, gdyż nie uczyniono wszystkiego, co uczynić należało dla odwrócenia nieszczęścia.

Na razie, jak mniemam, nie należy tamować sprawiedliwości, aby kraj doprowadzony został do uznania popełnionych wielkich przestępstw i swoim zachowaniem się zasłużył na łaskę. Aby jednak postępowanie takie nie było pojmowane jako surowość, aby od rządu odwrócony został nawet pozór, jakoby w Galicji teraz surowość miała zaplanować i jakoby rząd tylko karać lubiał, powinniśmy on, zdaniem mojem, nie pomijając żadnej stosownej sposobności, przy której do wieść może, że karze tylko wtedy, gdy to czynić musi, a chętnie zwraca się ku łagodności, skoro to tylko uczynić może. Już teraz nasuwają się rządowi dwie sposobności do zastosowania łaski, raz przez zniesienie sekwestracji z dóbr książąt Czartoryskich, a powtóre przez zupełne ułaskawienie osób na wstępie relacji wymienionych. O pierwszy akt łaski ośmieliłem się prosić bezpośrednio Jego Cesarskiej Mości, a jakkolwiek Jego Cesarska Mość nie raczył wysłuchać tej prośby, to jednak nie mogę z uniechęć jej ponowienia i polecam ją jak najusilniej łaskawej, a wielce wpływowej opiece Waszej Ekscelencji. Podnoszę to nie z tej jednej przyczyny, że dobra, z których reszta zasekwestrowana została, nie są własnością ks. Czartoryskiego, lecz jego małżonki, a dochód z tych dóbr

nie jest znaczny i ubytek rent uczuć się może daje w gospodarstwie księżnej, ale na usposobienie i działalność księcia żadnego wpływu nie wywiera. Właśnie dla tego, że przez przyznanie tej łaski państwo nie poniesie najmniejszego uszczerbku, lecz owszem rząd przez odstąpienie od tego wyjątkowego zarządzenia złoży dowód, iż siłą swojej potęgi i swojego prawa potrafi udaremnić wszelkie usiłowania przewrotowe, ponawiam wniosek powyższy. Mam najgłębsze przekonanie, że ten akt łaski sprawi daleko silniejsze wrażenie na korzyść rządu, objawiającego w ten sposób siłę swoją przez wstąpienie na normalny grunt prawny, aniżeli dalsze trwanie surowości, gdyż ta, zamiast uśmierzać namiętności, jeszcze więcej je podnieca, a niezadowolonym ciągle daje powód do odświeżania w pamięci wypadków, które pójść powinny w zapomnienie, jeżeli kraj odzyskać ma tak bardzo potrzebny spokój. Jest jeszcze jeden powód, który skłonił mię do ponowienia tej prośby. Tym powodem jest obawa przed skutkami sekwestracji. Renty zostały odjęte, ale nie są przekazane skarbowi państwa, gdyż nasze ludzkie ustawodawstwo nie zna konfiskaty majątku. Komukolwiek renty te zostaną w swoim czasie wydane, rząd zawsze musi wykazać, że uczciwie niemi zarządzał. Każdy rząd w drodze sekwestracji jest kosztowny, a nadto tylko w bardzo rzadkich razach zapobiedz można pogorszeniu kultury w takich dobrach. W każdym zaś razie dochody zmniejszą się, jeżeli rząd musi być złożony w obce ręce. Przez sekwestrację zatem, nie przynoszącą żadnej korzyści, lecz tylko kłopoty, rząd wystawia się na mnóstwo podejrzeń i zarzutów w kołach, źle dlań usposobionych w kraju i za granicą. Dla wszystkich rządów i nieprzychylnych organów prasy będzie to pożądanym powodem do rzucenia na rząd najzuchwalszych i najzjadliwszych oskarżeń o roztrwonienie rent, nieuczciwą administrację i rozmyślne pogorszenie kultury dóbr. Sama natura sekwestracji dostarczy środków do nadania tym oskarżeniom pozorów prawdy, kiedy tymczasem jej zniesienie byłoby wszędzie uznane za akt wspianiałomyślności i pewnie niemało przyczyniłoby się do uspokojenia umysłów w kraju, dla odświeżenia wiary w jednakową łaskawość austriackiego domu cesarskiego, do wzbudzenia nadziei lepszej przyszłości, wreszcie do zjednania szacunku rządowi, przenoszącemu łagodność nad surowość, skoro tylko na to okoliczności pozwalają.

Niemniej dobroczynny skutek wywarłoby zupełne i bezwarunkowe amnestjonowanie osób na wstępie wymienionych, co spowodowało wystosowanie tej relacji. Kraj powitałby ten akt z wdzięczną radością, jako zapowiedź dalszej łaski. Oba te akta zbliżyłyby do rządu wszystkich obywateli z poczuciem honoru, wszystkich, których krewni i powinowaci znoszą dziś następstwa fałszywych kroków i włożyłyby na nich moralne zobowiązanie do postępowania ręką w rękę z rządem celem przywrócenia spokoju i porządku w kraju, gdyż tylko w ten sposób umożliwionoby Jego Cesarskiej

Mości złagodzenie losu skazanych. Zamiast szukać w obwinieniu administracji wątpliwego usprawiedliwienia przestępstw politycznych, kraj we własnym interesie rzuci zasłonę na przeszłość, przetrzuci się ze złej polityki na pole właściwych materialnych i duchowych interesów swoich, aby współdziałać z rządem dla ich podniesienia.

Taką wagę przywiązywał gubernator, Franciszek hr. Stadion, do tej relacji swojej i tak bardzo zależało mu na przyjęciu wniosku amnestyjnego, że odpisy relacji przedłożył pierwszemu kanclerzowi, hr. Inzaghiemu i prezydentowi najwyższego trybunału, hr. Taaffemu, z usilną prośbą o zyczliwe poparcie sprawy.

Dla ścisłości, a poniekąd także i dla charakterystyki sytuacji wypada zaznaczyć, że w brulionie powyższej relacji gubernatora hr. Stadiona ustęp o poddaniu biurokratów-hajdamaków pod ramię karzącej sprawiedliwości został skreślony. Czy skreślenie to pochodzi z ręki hr. Stadiona i czy ustęp ten skreślono tak, że już go kopista w przeznaczonym dla Wiednia czystospisie opuścił, to kwestja, którą dziś już chyba tylko domysłami objaśnić można. Bierzemy w rachubę najdalej idącą ewentualność, to jest tę, że ustęp ów skreślił sam hr. Stadion i to w tym celu, aby nie dostał się do czystopisu. Jaki motyw skłonił go do tego kroku? Czy może zachwiał się w swojej opinii o biurokratach tej kategorii? Tego absolutnie przypuścić nie można, bo najpierw w takim razie musiałyby hr. Stadion skreślić już dla samej konsekwencji kilka innych ustępów, albo nawet przerobić całą relację, a powtórnie nie mogło już nic wpłynąć na taką zmianę opinii. W chwili bowiem, kiedy relacja była układana, upłynęło już kilkanaście miesięcy od rzezi z roku 1846, a pół roku od przyjazdu hr. Stadiona do Galicji. Co więc wtedy doszło do wiadomości nowego gubernatora Galicji, to nie było już wieścią niewiadomego pochodzenia, niesprawdzoną, a mimo to przez ogół powtarzaną, jak wśród samej rzezi, lecz stanowiło jakikolwiek rezultat poufnych dochodzeń, jak w przedstawionej przez nas sprawie Vitzthuma, rezultat minimalny, bo obejmujący tylko szczegóły, które z biegiem czasu nie poszły w zapomnienie i przed nowym gubernatorem ukryć się nie dały. Więc jaki motyw skłonić mógł hr. Stadiona do tego skreślenia? Widocznie zachwiał się przed konsekwencjami, a zachwianie takie łatwo wytlómaczyć. Kryminalne traktowanie winowajców ze świata biurokratycznego byłoby skompromitowało rząd austriacki wobec całego świata, bo jeden fakt takiego traktowania byłby odświeżył i niejako uwierzytelnił wszystkie obwinienia, które na wiosnę 1846 gradem posypały się na Austrię w dziennikach i parlamentach zagranicznych. Takiej ewentualności mógł się obawiać hr. Stadion tem więcej, że cały program jego misji w Galicji polegał na dążeniu do pacyfikacji kraju w szlachetnym tego słowa znaczeniu. Od wytkniętego zaś celu pacyfikacyjnego oddalałoby niewątpliwie nowego gubernatora stawienie na ostrzu spraw, na których

drażliwość upływ czasu zaczynał już działać w sposób uśmierający. Co innego sprawa morderców i rabusiów siemieżnych, których bezkarność, mimo upływu czasu, jednakowo, a nawet coraz więcej drażnić musiała ofiary popełnionych zbrodni. To też za ukaraniem zbrodniarzy tej kategorii przemawiał nowy gubernator stanowczo, chociaż, jak innym razem poznamy, niestety, ale nie z jego winy, bez skutku. A wreszcie i o tem pamiętać należy, że relacja z wnioskiem amnestyjnym musiała pójść do kancelarii cesarskiej, a tam pewnie nie przypuszczano tego, że w rzezi galicyjskiej biurokracja zgrzeszyła nietylko nieogłębnością i nieudolnością, czego wtedy zapewne przed cesarzem Ferdynandem nie ukrywano, lecz także, co nawet dla nowego gubernatora aż do rozpatrzenia się w stosunkach na miejscu było tajemnicą dobrze strzeżoną — bezpośredniem przyczynieniem się do wołających o pomstę zbrodni!

W smutnym bilansie lat 1846—1848 historia Galicji musi i to zapisać w rubryce ciężkich strat, że Franciszek hr. Stadion, którego intencji, w przytoczonej relacji wyrażonych, kraj nie mógł od razu odgadnąć, nie zdołał swojego programu ani w części wykonać. Nie doczekał się ukarania morderców i rabusiów z roku 1846, za jakim przemawiał, wskutek czego w wichrowatym roku 1848 w sferach tych odżyły zbrodnicze instynkty. Hr. Stadion przejęty na serjo obawą, żeby instynkta te wśród wznowionej agitacji żywiołów ruchu nie wybuchły znowu z taką dziką gwałtownością, jak w roku 1846, wydał starostom energiczne zarządzenia zapobiegawcze. Były one w formie swojej nie bardzo szczęśliwe, a niektórzy starostowie do tego jeszcze i w wykonaniu otrzymanych poleceń

tak niezręczni, że wzburzonej opinii społeczeństwa polskiego stanęła przed oczyma cała groza gospodarki biurokratycznej z roku 1846. Powstały za-targi, których ostatecznym fatalnym rezultatem było to, że Galicja źle się rozstała z gubernatorem Franciszkiem hr. Stadionem, a ten, odchodząc ze Lwowa zniechęcony, rozgoryczony wobec społeczeństwa polskiego. W kilka miesięcy później, jako minister spraw wewnętrznych, dał krajowi uczuć swoje rozczarowanie, wprawdzie nie mściwością pospolitą, jaką maż stanu tej miary przejmować się nie mógł, lecz przerwaniem swojej protekcyjnej sympatji na stronnictwo świętojurskie, które właśnie wtedy rozpoczynało swoją karierę polityczną.

Na zakończenie jeszcze uwaga pod adresem Maurycego bar. Sali. Albo nie była mu znana powyższa relacja Franciszka hr. Stadion, a w takim razie przechwałką jest tylko wypowiedziane w przedmowie do jego dzieła o roku 1846 twierdzenie, że miał do dyspozycji wszystkie akta wszystkich władz, albo relację tę miał w ręku, ale przeszedł nad nią do porządku dziennego, jako nad materiałem bardzo niewygodnym dla powziętego z góry zamiaru upiększenia wypadków r. 1846, a w takim razie jego dzieło traci charakter historycznego przedstawienia i uważane być musi za jednostronne i tendencyjne, chociaż, co prawda, w tonie spokojnym i poważnym trzymane *plaidoyer* w procesie historycznym przeciw biurokracji austriackiej starego autoramentu. W jednym i drugim razie bar. Sala nie zasługuje na to, aby jego dzieło traktowane było przez pisarzy polskich, jak to dotąd było, ze względami, należnemi źródłowemu materiałowi.

Dr Bronisław Łoziński.

Zabójstwo carewicza Aleksego Piotrowicza

26 czerwca 1718 r.

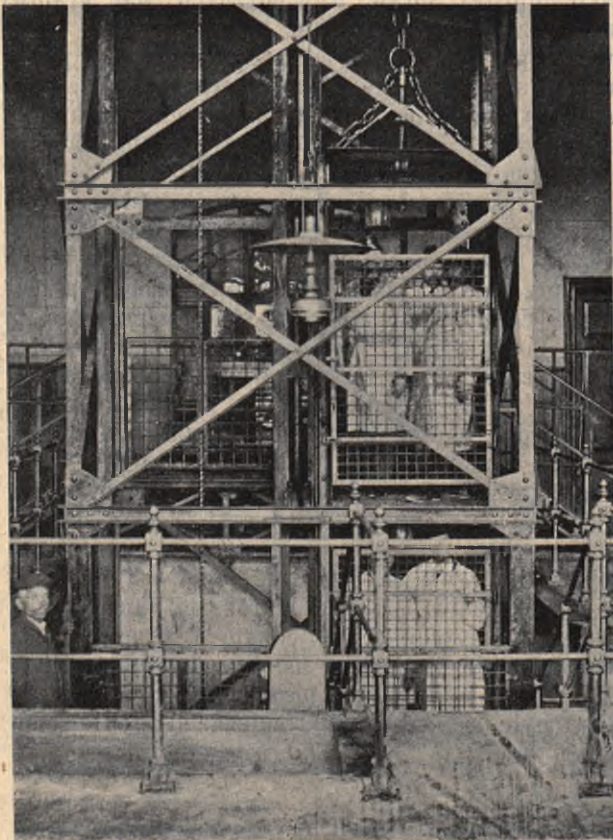
Jest wiele bardzo ciekawych podań o tragicznej śmierci moskiewskich carów, lecz podania te są tak poplątane wymysłami różnego rodzaju, iż trudno odróżnić prawdę od wymysłu. Zajmując się niegdyś historją moskiewską i krytyką historycznych faktów ostatnich czasów, musiałem przeczytać mnóstwo dzieł, kronik i sprawozdań naocznych świadków. Korzystając z tej pracy mogę opisać ziomkom moim, to *memento mori* dla panujących, które rzuca oprócz tego światło na charakter moskiewskiego ludu i różnych klas społeczeństwa w Moskwie. Zacznę więc opowiadanie od śmierci syna Pawła I, carewicza Aleksego Piotrowicza, opierając się na podaniach naocznego świadka, Aleksandra Rumiańcowa.

Carewicz Aleksy, nienawidząc zmiany, które ojciec jego wprowadzał w kraju, nie lubiąc i lekając się gwałtownego swego rodzica, uciekł do

krewnego swego Karola VI, cesarza rzymskiego. Wskutek nalegania Piotra, Karol VI, nie chcąc kłócić się z dworem moskiewskim, namówił carewicza wrócić do ojczyzny, tem więcej, że Piotr najsolenniejszym listem zapewnił, że nie mu się nie stanie. Po przyjeździe do Petersburga czas niejaki żył on pod dozorem w własnym pałacu z żoną Natalią i synem Piotrem. Wkrótce jednak odkryto korespondencję, zaszytą w odzieniu przybliżonych do carewicza, z której dowiedziano się, że carewicz nie przestaje konspirować przeciw ojcu swemu. Rozgniewany Piotr rozkazał posadzić carewicza pod strażą w petersburskiej fortecy, a wszystkich dworzan, oprócz kucharza i kamerdynera, oddalić od niego. Zwołano potem znakomite osoby stanu duchownego, wojskowego i cywilnego do Petersburga i kazano im sądzić winnego carewicza.

Wkrótce z Moskwy przybyły rzeczy Aleksego, a z nimi kochanka jego, Czuchonka Afrosinia, która nietylko świadczyła przeciw carewiczowi, lecz wydała jego korespondencje z archirejami Krutickim i Rustowskim i z kilku senatorami.

W tych listach prosił ich carewicz o pomoc słowem i uczynkiem na wypadek, gdyby przyszedł z Austrii z wojskiem i chciał owładnąć ojcowskim tronem. Wszystkie te osoby natychmiast zostały aresztowane i oddane pod sąd, a dziewczynie za donos darowano życie. Car miłościwie rozkazał ją



WINDA ZJAZDOWA
w Szybie Arcyksięcia Rudolfa w Wieliczce.

tylko wysłać do monasteru na rekolekcje do końca życia. Dziewczyna ta była wysokiego wzrostu, dzióbata, z grubymi ustami i z rudymi włosami, tak że wszyscy dziwili się, jak mógł carewicz kochać taką obrzydliwą Czuchonkę i powierzać jej swoje tajemnice.

Gdy się zjechali sędziowie, Piotr rozkazał im sędzić Aleksego nie jak carskiego syna, lecz jak poddanego, pozwalając go wzywać przed sąd i dopytwać na torturach. Wkrótce potem dwaj pomocnicy carewicza, Abraham Łopuchin i protopop Jakób Ignatjew, będąc oddani na męki, przyznali się do wszystkiego i skazani byli na śmierć. Ostatni z nich przyznał się, że na spowiedzi carewicz mu wyznał: „ojcze obwiniam siebie, iż życzę śmierci memu rodzicowi“, że mu na to odpowiedział: „my wszyscy tego życzymy“ — że dał komunię carewiczowi, i że od tego czasu został ulubionym jego doradcą.

Tak więc sędziowie po długim śledztwie obwinili carewicza i za zdradę skazali go na śmierć,

opierając się na piśmie św. i na ustawach państwa. Miejsca biblii, które zastosowali w tym wypadku, były następujące: „Ten, kto złorzeczy ojcu lub matce swojej, śmiercią niech umrze“. (Lewit. 20 i Mat. 15); „złorzeczący na ojca i matkę swoją, gasi lampę życia swego“, (Przyp. Salomona 20). „Jeżeli kto przeciw zdrowiu cesarza zamyśla co złego i odkryje się, że on przeciw cesarzowi chciał działać, takiego śmiercią karać“. (Ułożenie R. II. § 1).

Wyrok ten przedstawiono carowi do potwierdzenia, od duchownych oddzielnie i od świeckich oddzielnie, potem każdego z sędziów wzywano po jednym przed zebranie senatu i ministrów, żeby głośno objawili zdanie swoje i wszyscy powiedzieli: „winowajca carewicz zasłużył na śmierć“.

Wtedy zebrali się wszyscy razem i podpisali wyrok, w którym było powiedziano, że chociaż z woli cara to zdanie objawiają z tak czystym sumieniem, jak przed strasznym, sprawiedliwym i bezwzględny sąd Wszechmocnego Boga, jednak zatwierdzenie wyroku oddają na wolę i miłosierdzie cara, najmiłsiwszego monarchy. Ponieważ carewicz był chory, więc go do sądu nie wzywano; ale do fortecy pojechali ks. Mieńszczyków, kanclerz Gołowkin, tajny sowietnik Piotr Tołstoj i Rumiańcow, i wyrok mu przeczytali.

Gdy carewicz usłyszał o osądzeniu go na śmierć, zbladł i zachwiał się tak, że Rumiańcow z Tołstojem musieli go podtrzymać. Położywszy go do łóżka i rozkazawszy sługom i doktorowi pielęgnować carewicza, powrócili wszyscy do pałacu z raportem, że carewicz wyrok wysłuchał, i tutaj Tołstoj, Rumiańcow, generał porucznik Buturlin i lejbgwardji major Uszaków, otrzymali rozkaz przyjechania do pałacu o pierwszej godzinie po północy.

Gdy się wszyscy zjechali, dyżurny szambelan wprowadził ich do wewnętrznej sali, gdzie się już znajdował car, caryca Katarzyna Aleksiejówna, Troicki archimandryta Fiedorij, którego car bardzo szanował jako duchowną osobę i rozumnego człowieka. Gdy powiedziano carowi, iż się już wszyscy zebrali, postąpił do Fiedorija i prosił go o błogosławieństwo; na co ten odpowiedział: „carze miłościwy! pomyśl, żebyś nie żałował“. Piotr na to odpowiedział: „Miara grzechów jego przepełniła się, wszelkie miłosierdzie od tej godziny będzie naszym ciężkim grzechem, za który przyjdzie odpowiedzieć przed Bogiem i przed sławnym państwem mojem. Błogosław mnie ojciec na powinność, ciężką rodzicielskiemu sercu memu i prosz Boga, żeby przebaczył mnie moje przestępstwo“. Wtedy Fiedorij podniósł ręce, pobłogosławił cara i powiedział: „niech się stanie wola twoja najjaśniejszy panie, rób tak, jak ci wskaże widzący serce twoje Bóg!“

Po otrzymaniu błogosławieństwa car zbliżył się do zebranych w sali i nie wiedzących, po co są przywołani, i odezwał się do nich w następujące słowa: „Studzy moi wierni, w wielu wypadkach wypróbowani! Nastąpiła godzina spełnienia wielkiej usługi dla mnie i dla państwa. Szkodliwy

Aleksy, którego wstydę się nazywać synem i carewiczem, zapomniawszy przysięgi danej przed Bogiem, ukrył większą część swoich przestępstw i swoich współników, mając nadzieję, że gdy drugi raz targnie się na tron nasz, oni mogą mu się przydać.

Sprawiedliwie oburzeni za takie naruszenie przysięgi, rozkazaliśmy go sądzić, i sąd odkrył takie występki, które nam i na myśl przyjść nie mogły. Sąd ten, jak i wy wiecie, opierając się na cywilnem prawie i na piśmie świętem, uznał carewicza godnym kary śmierci. Wszystkim wiadoma cierpliwość nasza i nasza słabość ku niemu do ostatniej chwili, bo już od dawna zasłużył na karę. Jako człowiek i ojciec, żałuję go i dzisiaj serdecznie, lecz jako sprawiedliwy car nie mogę ścierpieć nowego naruszenia przysięgi, nowej zdrady, bo za wszystkie nieszczęścia pochodzące ze słabości serca, będę musiał odpowiadać przed Bogiem, który mnie pomazał i na tron rosyjskiego państwa posadził. Dlatego też słudzy moi wierni, idźcie prędzej do łóżka przestępnego Aleksego i ukarście go śmiercią, jak należy karać zdrajcę cara i ojczyzny. Nie chcę hańbić krwi carskiej publiczną karą, lecz się to stanie tak cicho i tajemnie, jak gdyby on umarł zwykłą śmiercią. Idźcie i wypełnijcie ten rozkaz, bo tak chce wasz prawy car i rozkazuje Bóg, w którego ręku wszyscy jesteśmy.

Powiedziawszy to Piotr, skłonił głowę ze smutkiem: natychmiast podeszła do niego caryca i archimandryta Fiedorij i zaczęli pocieszać i łagodzić jego zmartwienie.

Posłowie po wyjściu z pałacu udali się do fortecy. Gdy przyszli do wielkich sieni, Uszaków jako dyżurny naczelnik pałacowej straży, kazał żołnierzowi stojącemu na warcie przejść do zewnętrznych drzwi, dlatego niby, żeby szcęk broni nie niepokoił chorego carewicza. Potem Tołstoj wszedł do pokoju, gdzie spali kamerdyner i kucharz carewicza; obudzwszy posłał ich do kolegi, niby do dania jakichś objaśnień, posławszy osobno rozkaz, żeby ich tam przytrzymało aż do otrzymania nowego rozkazu. I tak w całym domu pozostało czterech wysłanych oprawców i carewicz śpiący; wszystko to było spełnione tak ostrożnie, że carewicz nawet usłyszeć nic nie mógł. Wtedy to weszli cicho w ciemne pokoje i z ostrożnością otworzyli drzwi sypialni carewicza, która była zaledwie oświetlona lampeczką, palącą się przed obrazem. Carewicz spał, w nieładzie rozrzucił odzienie i pokrycie, i jakby straszonym snem strapiiony jęczał. Był też on bardzo chory, lecz po przyjęciu komunii, żeby nie umrzeć bez religijnej pociechy, — zdrowie jego się polepszyło się tak, że według zdania lekarzy — wszelka była nadzieja wyzdrowienia. Nikt z początku nie chciał go budzić i postau-

nicy zaczęli radzić się, czy nie lepiej pozbawić go życia we śnie, żeby go wybawić od okropności chwil ostatnich. Lecz jak pisze Rumiańców: „sumienie powiedziało nam: niech nie umrze bez modlitwy“.

Wtedy to Tołstoj, nabrawszy odwagi, poszedł do śpiącego i rozbudził go mówiąc: „wasza książęca Mość wstawajcie!“ Otworzył oczy, nie wiedząc, co się dzieje wokoło niego, i usiadłszy na łóżku, patrzył na gości ze zdziwieniem i ze strachem; Tołstoj zbliżył się do niego i powiedział: „Panie i carewiczu! Według wyroku najznakomitszych ludzi ziemi rosyjskiej, jesteś osądzony na karę śmierci za zdradę przeciw ojcu twemu i przeciw ojczyźnie. Przyszliśmy z rozkazu cara spełnić nad tobą ten wyrok, dlatego też modlitwą i żalem za grzechy przygotuj się do śmierci, gdyż koniec życia twego bardzo już jest bliski“.

Gdy usłyszał to carewicz, zaczął wzywać o pomoc, lecz widząc, że nikt nie przychodzi, rozpłakał się gorzko wołając: „biada mnie nieszczęśliwemu, biada muie urodzonemu z krwi carskiej; czy nie lepiejby mnie było urodzić się z ostatniego poddanego?“

Tołstoj pocieszając carewicza mówił: „Car jako ojciec darował ci twe przewinienia i modlić się będzie za duszę twoją, lecz jako monarcha przebaczyć nie mógł, lękając się wyrządzić szkodę ojczyźnie; dlatego też zaniechaj łez i skargi, bo to rzecz kobieca, i przyjm los twój, jak należy mężowi, pochodzącemu z krwi carskiej, i módl się o przebaczenie grzechów twoich“. Lecz carewicz nie słuchał rady jego, lecz płakał i narzekał na ojca, nazywając go dzieciobójcą.



Poczta w Gdowie, w której się rozgrywały wypadki w 1846 r.

Gdy oprawcy obaczyli, że carewicz modlić się nie chce, wzięwszy go pod ręce, postawili na ziemi i zmusili go ukłknąć. Potem jeden z nich, (kto niewiadomo, bo jak Rumiańców pisze: ze strachu nie uważałem) wyrzekł zamiast niego: „Panie

w ręce Twoje oddaję ducha mego". Carewicz zaś zaczął się szamotać i bronić rękami i nogami, i chciał się im wyrwać. Wtedy Buturlin wyrzekł: „Boże przyjmij duszę sługi Twego Aleksieja w mieszkaniu świętych i zapomnij na jego grzechy, jako miłosierny ojciec!”

Wśród tych słów powalili carewicza na wznak na łóżko, i wzięwszy dwie poduszki, nakryli mu głowę i przygnietli go niemi, naciskając, dopóki ruch nóg i rąk nie ustał, a serce bić nie przestało, co jednak nastąpiło prędko z powodu jego słabości.

Gdy to spełniono, ułożyli oprawcy ciało carewicza tak, jakby spał, i pomodliwszy się za jego duszę, wyszli. Rumiańców z Uszakowem zostali w fortecy, żeby kto z obcych nie wszedł, Buturlin zaś i Tołstoj pojechali do cara, donieść mu o śmierci carewicza. Wkrótce przyjechała z pałacu p. Kramer i razem z Rumiańcowem umyli ciało, ubrali go w świetne odzienie i przygotowali wszystko do pogrzebu.

O śmierci carewicza dowiedziano się tegoż dnia 26-go czerwca 1718 r. po południu; bo rozgłoszono powszechnie, iż umarł od apopleksyi.

Na trzeci dzień ciało jego z honorami, należnemi cesarskiemu synowi, przeniesiono do Troickiego soboru, a 30-go postawiono w Petropawłowskiem soborze obok ciała jego żony.

Przeniesienie i pogrzeb odbyły się wśród wielkiego zebrania narodu, według ceremoniału przez samego cara aprobowanego; nikt zaś o prawdziwości śmierci carewicza nie wiedział.

Na pogrzebie był car z carycą i obydwójce gorzko płakali. — Czy to był żal, czyli najjaśniejsza komedja — Bogu jedynemu wiadomo.

J. S.

CONON DOYLE.

TAJEMNICA BASKERVILLE'ÓW

Dziwne przygody Sherlocka Holmes.

Przekład z angielskiego.

EUGENII ŻMIJEWSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

XIII.

Zastawianie sieci.

Sir Henryk był bardziej rad, niż zdziwiony widokiem Holmesa; spodziewał się bowiem, że ostatnie wypadki skłonią go do przybycia. Nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego mój przyjaciel nie wziął z sobą żadnych bagażów. Zaostrzyliśmy go we wszystko, czego potrzebował, a następnie, przy sutej wieczery, opowiedzieliśmy baronetowi naszą przygodę, z opuszczeniem pewnych szczegółów.

Ale wpiery czekał mnie przykry obowiązek uwiadomienia Barrymorów o śmierci Seldona. Dla

męża było to poniekąd dobrą nowiną, ale żona na tę wieść rozplakała się rzewnie. W oczach wszystkich ów zbrodniarz był potworem i wyrzutkiem społeczeństwa; ona widziała w nim zawsze chłopaka z jasnymi kędziorami, którego nosiła na rękę i kochała, jak własne dziecko.

Niema tak złego mężczyzny, po którymby nie płakała kobieta...

— Po wyjściu Watsona — mówił baronet — snułem się z kąta w kąt, wierny mojej obietnicy: nie zapuszczania się samemu na bagno po zachodzie słońca. Teraz jednak żałuję, że nie przyjąłem zaprosin Stapletona, który do mnie pisał nad wieczorem. Gdybym był poszedł, spędziłbym wieczór weselej.

— Nie wątpię o tem — rzekł Holmes. — Ale, prawda, zapomniałem panu powiedzieć, żeśmy go już oplakali. Byliśmy pewni, że to pan umarł.

Sir Henryk spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Ten biedak był ubrany od stóp do głowy w pańską odzież. Obawiam się, że Barrymore, który mu jej dostarczył, będzie miał zatarg z policją...

— Wątpię. Nie było żadnych znaków.

— To szczęśliwie dla niego, a nawet i dla nas, gdyż i pan nie jest bez zarzutu w tej sprawie. Pociągano by pana do odpowiedzialności za to, że znając kryjówkę zbiegłego więźnia, nie uwiadomiłeś o niej policji... Jako sumienny detektyw, powinienem nawet aresztować pana i całą służbę pałacową...

— Zanim pan spełni ten obowiązek — mówił baronet żartobliwie — może się dowiem, jak stoi nasza sprawa? Czyś pan jej zawilości rozplątał? My z Watsonem tyle wiemy dziś, co na początku.

— Mam nadzieję, że zdołam wysświetlić tajemnicę. Sprawa istotnie bardzo skomplikowana, dużo w niej punktów ciemnych, ale spodziewam się rzucić na nie światło.

— My tutaj z Watsonem stwierdziliśmy tylko jeden fakt: szczekanie psa na bagnie. Słyszeliśmy je wyraźnie, więc to nie legenda ani przesady. Gdybyś pan zdołał schwytać tego psa, byłbyś najpierwszym detektywem na świecie.

— Mam nadzieję, że go schwytam i nałożę mu kaganiec, ale potrzebuję pańskiej pomocy.

— Rozporządzaj pan mną dowoli. Zrobię, co pan zechcesz.

— A więc poproszę pana, abys słuchał mnie ślepo.

— I owszem.

— Jeżeli pan zastosujesz się do moich wskazówek i poleceń, nie pytając o ich przyczynę, to uda mi się może rozwikłać tajemnicę. Nie wątpię...

Urwał nagle i zapatrzył się w jeden punkt nad swoją głową. Światło padało na jego twarz nieruchomą, jakby wykutą z kamienia.

— Co pan tam widzisz? — zawołał sir Henryk.

Patrząc na Sherlocka, spostrzegłem, że tłumi wewnętrzne wzburzenie. Rysy jego były chłodne, jak zwykle, w oczach jednak płonął dziwny ogień.

— To był zachwyty znawcy... — rzekł po chwili, wskazując rząd portretów, wiszących na przeciw-

ległej ścianie. — Watson nie wierzy mojemu znanstwu, ale to przez zazdrość, gdyż nasze poglądy na sztukę są niezgodne. Według mnie, ta galerja portretów jest wspaniała.

— Miło mi to słyszeć — odrzekł sir Henryk, patrząc na mego przyjaciela ze zdziwieniem. — Na malarstwie nie znam się: wolę ładnego konia, niż cenny obraz. Nie sądziłem, że pan masz czas oddawać się takim zamiłowaniom...

— Nie mogę być obojętny na arcydzieła, gdy je mam przed oczyma — odparł Holmes. — Mogłbym się założyć, że ta dama w niebieskiej atłasowej sukni i ten sędziwy mąż w peruce, wyszli z pod penszla Reynoldsa. Wszak to wszystkie portrety rodzinne?

— Tak, wszystkie.

— Czy pan zna imiona i daty?

— Barrymore próbował wtajemniczyć mnie w rodowody i zdaje mi się, że zapamiętał jego wykład.

— Któż jest ów gentleman z teleskopem w ręku?

— To admirał Baskerville; służył w Indiach Zachodnich pod Rodneyem. A ten w niebieskim fraku, to sir William Baskerville, który był przewodniczącym w izbie gmin za czasów Pitta.

— A ów jeździec, naprzeciwko mnie, w aksamitnym spencerze?

— O! ten wart, aby o nim powiedzieć słów parę. On jest sprawcą nieszczęść naszej rodziny. To właśnie krwawy Hugon, który wypuścił sforę psów na tę nieszczęśliwą dziewczynę...

Spojrzałem na portret z wielkiem zaciekawieniem.

— Nigdybym się nie domyślił, że to on — rzekł Holmes. — Twarz łagodna, spokojna, tylko w oczach... płomień. Wyobrażałem go sobie teższym i groźniejszym.

— Niema wątpliwości, że to on. Na odwrotnej stronie płótna jest imię, data i rok 1647.

Mój przyjaciel umilkł, ale nie odrywał oczu od portretu. Dopiero po naszym rozejściu się na spoczynek dowiedziałem się, dlaczego to płótno budzi w nim tak żywe zaciekawienie.

Zaprowadził mnie znowu do jadalni ze świecą w rękę i przysunął ją do portretu.

— Co cię uderza? — zapytał.

Ogarnąłem wzrokiem duży kapelusz z piórami, złociste loki i koronkowy kołnierz; wpatrywałem się w rysy chłodne, surowe. Nie było w nich namiętności, lecz niezłomna, okrutna wola; tryskała ona z oczu stalowych, zdradzały ją usta wązkie, zacisnięte.

— Czy ten portret przypomina ci kogo ze znajomych? — pytał Holmes.

— Z dolnej części twarzy trochę podobny do sir Henryka.

— Istotnie. Ale poczekaj.

Wskoczył na krzesło, i trzymając świecę w lewej ręce, prawą osłonił szeroki kapelusz i włosy.

— Chryste Panie! — zawołałem.

Z ram obrazu wyłoniła się twarz Stapletona...

— Ha! spostrzegłeś wreszcie! — rzekł Hol-

mes. — Moje oczy są przyzwyczajone do badania samych twarzy, bez akcesorii toaletowych. Pierwszą zaletą detektywa jest poznawać ludzi pod przebraniem.

— Ależ to nadzwyczajne! — mówiłem, nie mogąc ochłonąć z podziwu. — Ten obraz mógłby być jego portretem!

— Tak, to fizyczny dowód atawizmu i moralnego podobieństwa. Studja nad portretami rodzinnymi mogą nas przejąć wiarą w wędrówkę dusz. Ten człowiek jest z rodu Baskervilleów, to nie ulega wątpliwości.

— I dlatego dybie na sukcesję...

— Naturalnie. Portret wypełnił lukę w moich poszukiwaniach. Trzymamy go, Watson; gotów jestem założyć się, że jutro wpadnie w moje sieci, tak, jak motyle, za którymi sam się ugania. Wezmę go na szpilkę i dołączę do mojej kolekcji zbrodniarzy.

Wybuchnął śmiechem, co mu się rzadko zdarzało.

Nazajutrz wstałem bardzo wcześnie, ale Holmes już mnie wyprzedził. Był ubrany do wyjścia.

— Mamy cały dzień swobodny — mówił, zacierając ręce z radości. — Sieci już zastawione, braknie tylko motyla.

— Czy już wychodziłeś?

— Wysłałem do Princetown wiadomość o śmierci Seldona. Mam nadzieję, że nikt z was nie będzie niepokojony w tej sprawie. Porozumiałem się już także z wiernym Cartwrightem; krążył około mojej nory, jak pies nad grobem swego pana. Musiałem go uspokoić, że jestem zdrow i cały.

— Cóż dalej?

— Przywitamy sir Henryka. Ha! oto i on!

— Dzień dobry, Holmes — rzekł baronet, wchodząc do jadalni. — Wyglądasz na dowódcę, naradzającego się z szefem swego sztabu przed bitwą.

— Bo też tak jest. Watson otrzymuje rozkazy.

— I ja gotów jestem ich wysłuchać.

— Wszak Stapleton zaprosił pana dzisiaj na obiad?

— Spodziewam się, że i panowie pójdziecie ze mną. Oni są bardzo gościnni i ręczę, że przyjmą was z otwartymi rękoma.

— Obaj z Watsonem musimy jechać do Londynu.

— Do Londynu?

— Tak; nasza obecność jest potrzebniejsza tam, niż tutaj.

— Miałem nadzieję — oświadczył baronet — że nie opuścicie mnie, dopóki ta sprawa się nie wyswietli. Co ja tu będę robił sam na tem pustkowiu?

— Kochany panie, musisz zaufać mi ślepo i zrobić to, co powiem. Oświadczysz pan Stapletonom, że mieliśmy wielką ochotę panu towarzyszyć, lecz że ważne interesy powołały nas do Londynu. Spodziewamy się wrócić niebawem. Czy pan zechce powtórzyć im to dosłownie?

— Jeżeli panu na tem zależy.

Widziałem, że baronet jest niezadowolony z na-

szego wyjazdu, i że ma do nas żal, iż go opuszczamy.

— Kiedy chcecie jechać? — spytał chłodno.

— Zaraz po pierwszym śniadaniu. Wstąpimy do Coombe-Tracey. Watson pozostawia tutaj kuferek, jako dowód, że wróci niebawem. Napisz kilka słów do Stapletona, przepraszając go, że nie możesz korzystać z jego zaprosin.

— Mam ochotę jechać z wami — rzekł baronet. — Co mnie tu wiąże?

— Dałeś mi pan słowo, że zastosujesz się do moich poleceń, a ja powiadam panu, abyś został.

— Ha! w takim razie zostanę.

— Jeszcze słówko. Do Merripit-House pojedziesz pan amerykańcem. Odeślesz zaraz konie i oświadczysz, że zamierzasz powrócić pieszo.

— Mam iść przez bagno?

— Tak.

— Ależ to sprzeciwia się pańskim poprzednim zaleceniom! Ostrzegaliście mnie obaj, abym po zachodzie słońca nie wychodził na bagno, ani na łąkę.

— Tym razem możesz pan iść bezpiecznie. Gdybym nie ufał pańskiej odwadze i zimnej krwi, nie dawałbym panu takiej rady. Wierzaj mi pan, że to jest niezbedne.

— A więc dobrze.

— Ale jeśli panu życie miłe, nie zbaczaj z drogi; musisz iść prosto ścieżką, wiodącą z Merripit-House do Grimpen-Road.

— Dobrze, zapamiętam.

— Chciałbym wyruszyć stąd zaraz po śniadaniu aby stanąć w Londynie przed wieczorem.

Byłem zdziwiony takim programem; choć poprzedniego dnia Holmes wspominał Stapletonowi, że jedzie nazajutrz do miasta, nie sądziłem jednak, że mnie zabierze ze sobą i nie mogłem zrozumieć, dlaczego w najważniejszej chwili schodzi ze stanowiska. Milczałem wszelako, wiedząc, że trzeba go słuchać biernie.

Pożegnaliśmy naszego przyjaciela i w parę godzin potem byliśmy na dworcu w Coombe-Tracey. Konie zostały odesłane do domu. Na platformie stał niewielki chłopczyzna.

— Co pan rozkaże? — zapytał Holmesa.

— Pojedziesz tym pociągiem do Londynu. Zaraz po przybyciu zatelegrafujesz do sir Henryka Baskerville w moim imieniu, prosząc go, aby kazał poszukać papierośnicy, którą zostawiłem u niego i odesłał ją na Baker-Street.

— Słucham pana.

— Zapytaj na stacji, czy niema listu do mnie.

Chłopak wrócił z telegramem. Holmes podał mi go. Przeczytałem, co następuje:

„Depesza otrzymana. Przybywam z niepodpisany rozkazem. Będę o g. 5 m. 40. Lestrade“.

— To odpowiedź na mój telegram, wyprawiony dziś rano. Będziemy potrzebowali jego pomocy. Człowiek sprytny i odważny. A teraz, Watson, sądzę, że nic nam nie pozostaje, jak odwiedzić twoją znajomą, panią Laurę Lyons.

Zaczynałem pojmywać plan kampanji. Holmes za pośrednictwem baroneta chciał przekonać Stapletonów, żeśmy wyjechali istotnie, a my tymczasem zjawimy się w chwili grożącego niebezpieczeństwa.

Ów telegram z Londynu, o którym sir Henryk wspomni zapewne, rozwieje podejrzenia naturalisty.

Sieci były już zastawione.

Pani Laura Lyons znajdowała się w swoim biurze. Sherlock Holmes przystąpił do rzeczy wprost ze szczerością, która ją wprowadziła w kłopot.

— Badam okoliczności, towarzyszące śmierci sir Karola Baskerville — oświadczył. — Mój przyjaciel, doktor Watson, uwiadomił mnie o treści swojej rozmowy z panią, wiem także to, co pani zamilczała...

— Cóżem zamilczała?

— Wyznałaś pani, że sir Karol na jej prośbę miał znajdować się o dziesiątej przy furcie — wiemy, że o tej godzinie śmierć go spotkała. Nie wyjaśniłaś pani: jaki stosunek zachodzi pomiędzy tymi dwoma faktami.

— Nie są w żadnym stosunku do siebie.

— Byłby to dziwny zbieg okoliczności. Sądzę jednak, że zdołamy wykazać związek pomiędzy jednym faktem a drugim. Chcę być z panią zupełnie szczerym. Poczytujemy ten „wypadek“ za morderstwo; podejrzanym jest nie tylko przyjaciel pani, mr. Stapleton, lecz i jego żona...

Mrs. Lyons zerwała się na równe nogi.

— Jego żona?... — krzyknęła.

— Tak. Rzecz wyszła na jaw. Osoba, która dotychczas uchodziła za jego siostrę, jest właściwie jego żoną...

Pani Lyons usiadła znowu, jej palce ścisnęły poręcz fotela z taką siłą, że aż paznogie zbieleły.

— Jego żona! — szeptała. — Jego żona! Więc on jest żonaty!...

Sherlock Holmes rozłożył ręce, jak gdyby chciał powiedzieć, że niema na to rady.

— Chcę mieć dowód. Jeśli pan potrafisz stwierdzić te słowa faktami... — Nie dokończyła, głos zamarł w jej piersi.

— Przybyłem uzbrojony w dowody, wiedząc, że ich pani zażąda — oświadczył Holmes, wyjmując paczkę papierów z kieszeni. — Oto fotografia małżonków, zdjęta przed kilku laty w York. Zapisani są w księgach zakładu fotograficznego jako „państwo Vandeleur“, ale łatwo poznać i ją i jego. Dalej — trzy rysopisy małżonków Vandeleur; mąż w owym czasie był kierownikiem szkoły prywatnej w St-Oliver. Rysopisy zostały nadesłane przez osoby wiarogodne. Oczytaj je pani, a przekonasz się, czy odpowiadają wyglądowi pana Stapleton i jego domniemanej siostry.

Przebiegła okiem listy i pogrążyła się w milczeniu. Skostniała jakby z bólu.

(Ciąg dalszy nastąpi).